№ 48. Warszawa, dnia 2 (14) Czerwca 1872 roku. Tom I. — Rok I.

# WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

## NA MARNE.

### SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

*Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 47).*

Szwarc ująwszy rękę Heleny, mówił łagodnie:

— A jednak powinnaś mnie zrozumieć. Pochlebiam sobie że nie ustąpię Potkańskiemu w miłości dla ciebie, ni w pracy o twoje szczęście. Ale jest między nami różnica. On syn magnata mógł od razu podać ci rękę, otoczyć cię dostatkiem — jam syn rzemieślnika, ja długo muszę jeszcze pracować na twoje i własne szczęście. Nie opuszczę cię teraz, ale nie chcę, żebyś jako żona moja zetknęła się z zimną rzeczywistością ubóztwa, od którego cię tamten odzwyczaił. Do tego jednak potrzeba mi miłości twéj i zaufania. Mów Heleno...

Helena nic nie odrzekła, ale zbliżyła się do Józefa, i położywszy mu głowę na piersiach, podniosła nań oczy pełne dziecinnéj ufności.

— Oto moją odpowiedź, Helenko moja dobra, rzekł Szwarc i długim pocałunkiem połączył jéj usta ze swojemi.

— Może to egoizm z mojéj strony, ale przebacz mi go, mówił daléj. Nie zdobyłem cię zasługą ani cierpieniem, nie uczyniłem dla ciebie nic zgoła. Widmo bogactw, jakiemi cię otaczał Potkański z jednéj, poświęcenie Gustawa z drugiéj strony stawałyby zawsze między nami. Pozwól mi się zasłużyć na ciebie Heleno—mam dość siły i energii,—nie zawiodę cię.

Szwarcowi może zdawało się, że szczerze mówi, o ile jednak w słowach jego brała udział obrażona miłość własna, łatwo się każdy domyśli, rzuciwszy okiem na warunki, w jakich żyła dotychczas Helena. Gdyby Szwarc prosił o jéj rękę natychmiast, warunki te zmieniłyby się bardzo niewiele a z pewnością nie na gorsze, bo w takim razie dzieląc z nią mieszkanie pozbyłby się Augustynowicza i wszystkich wydatków, jakie ten za sobą pociągał. Z drugiéj strony należy mu przyznać, że słowa danego Gustawowi dotrzymywał z całą sumiennością. U Heleny nic się nie zmieniło—Szwarc tedy brałby ją w takich warunkach, w jakich zostawała od lat dwóch.

Była niezawodnie połowa prawdy w tém co mówił Helenie o swéj ambicyi, więcéj jeszcze ważyła chęć rzucenia rękawiczki przeciwnikom, ale najważniejszym podobno powodem, dla którego nie żenił się z Heleną, był ich stosunek między sobą—nadto zbliżenia między ludźmi nie połączonymi węzłami dającemi więcéj prawa do pieszczot i pocałunków. Czara była do połowy wypita. Uprawnienie odbierało raczéj urok zakazanego owocu, doznanéj już słodyczy, niż obiecywało nowe.

Pokazuje się, że Augustynowicz miał trochę racyi.

Szwarc może sam przed sobą nie przyznawał, że dla tego nie pragnął zmiany owych stosunków, ponieważ było mu z niemi wygodnie.

Nie kochał więc Heleny?

Kochał, bo inaczéj nie przychodziłby do niéj codziennie, nie całowałby jéj ust, czoła i rąk; ale pamiętajmy, że to właśnie wypełnia w połowie pragnienie, któremu w innych warunkach czynimy zadość przez ołtarz.

Pojęcie: narzeczona, jest niby przezroczystą zasłoną na obnażonéj kobiecie. Przychodzimy do ołtarza, żeby ją zerwać—zerwawszy, tracimy część uroku.

Poczciwa natura ludzka wynagradza ową stratę pojęciem: przywiązanie gdy i tego zabraknie, występuje inna, jeszcze mniéj powabna rzecz—przyzwyczajenie.

Ale życie się toczy.

Szwarc uchylił już zasłony, do zupełnego zerwania jéj prowadziły dwie drogi:—jedna nazywała się ołtarz, druga.... druga była zapomnienie się chwilowém, zwycięztwem namiętności nad honorem—mniéj uczciwa, nie uczciwa po prostu, ale szybka i powabna.

Pierwsza była trudna—w drugiéj każda chwila była pokusą, każdy pocałunek pobudką.

Do pierwszéj zniechęcała niewczesną opieka nad Heleną—drugą radziła miłość własna.

Ale pierwsza była uczciwą—druga nie.

Szwarc stał na rozdrożu.

Możnaby wprawdzie powiedzieć, że uczciwy człowiek nie powinien był się wahać; ale możnaby także spytać jakby postąpił uczciwy człowiek w takim razie gdyby siły pokusy były absolutnie większe od zasobów jego uczciwości?

Helena kochała Szwarca, odpowiadała nerwowo na jego pocałunki. Ze świadomością nie mogła decydować, bezświadomie przyrzucała ciężaru téj wadze, która w duszy Szwarca przeciwważyła uczciwość i honor.

Ileż to czarowne słówko: miłość, przynos czasem z sobą wielkich i małych walk, udręczeń i niepokojów! Cała ta hałastra z gwarem i wrzawą, zbrojna w kolce i dzwonki, swawolna, wyuzdana, gwałtowna, nadlatuje wówczas ze wszystkich stron, bawi się sercem jak piłką pod-

rzuca aż pod gwiazdy lub depce po ziemi. Otwierają się wówczas wszystkie pieczary twéj duszy. Aniś się domyślał co w nich mieszka. Wszystkie siedm grzechów głównych ze wszystkiemi cnotami, o których prawią katechizmy, idą o ciebie w zawody. Widzisz się być innym, niżeliś dotąd mniemał; przestajesz ufać sobie, podejrzywasz się na każdym kroku, tracisz rząd nad sobą. Namiętności niby płomienie powstają wówczas z głębi twéj istoty, i jak poniki na bagnie chodzą czołgają się, kołują, podskakują i nikną.

Noc ducha rozdzierana ich światłem—ukazuje ci w ich kolorach twe własne wnętrze. Pełnisz rolę aktora i widza. Jesteś niby łódź bez wiosła na falach z płomieni... Potém grom jeden kończy wszystko, ognie niby fajerwerk gasną—śnisz wtedy jak Dante o piekle i niebie.

Smutno, gdy po przebudzeniu nie masz ktoby ci wrócił przecierpiane chwilę. Wróci się, wróci spokój! ale szczęście nie wróci. Ręka ucięta nie boli, ale jéj nie ma.

Augustynowicz może miał trochę racyi, gdy mówił, że życia nie warto wydawać na jedno uczucie. Może nie należy rozbijać się o ciasne ściany własnego egoizmu i własnych zachcianek. Nad nami i obok nas szeroki świat—huczą tam fale wzdymane przez ludzkość całą, czyż nie lepiéj odciąć kotwicę, odepchnąć okręt od brzegu, uciszyć rozpłakane serce i płynąć w przyszłość bez szczęścia ale z pracą, bez wiary, ale z myślą?

To pewna że do czasu takiéj ogniowéj próby nie można wyrokować o szlachetności kruszcu, z którego ulana dusza człowieka. Żadnych tedy gwarancyj, za przyszłe postępki Szwarca kłaść nie możemy. Doznawał różnych pokus—to wiemy; ręczymy także że ubijał się z niemi jak mógł; jak jednak się się skończyło, czy on, czy one okazały się silniejszemi, potém o tém powiemy.

X.

Wracając do domu, Szwarc spotkał w bramie starego hrabiego z córką schodzących ze schodów. Panna rzuciła nań ciekawém okiem, a uszedłszy parę kroków, obejrzała się raz jeszcze z uśmiechem. Szwarc zauważył że była bardzo ładna i z prawdziwém zadowoleniem usłyszał jak mówiła ojcu: „To młody doktor, papo, który mieszka pod nami.” Nie wiele mu już brakło wprawdzie do ukończenia uniwersytetu,—chętnie jednak usłyszał, że już go poczytują za doktora.

Mieszkanie Szwarca było otwarte, stróż domowy robił w niém, porządek. Od niego dowiedział się Szwarc szczegółów o hrabi i hrabiance. Stróż nie lubił ich obojga: utyskiwał na ich skąpstwo, choć domyślał się że musieli być bardzo ubodzy, bo i za mieszkanie nie płacili bardzo regularnie. „Pannica harda”, mówił: „przez cały dzień nic nie robi, tylko gra i śpiewa —przykrzy jéj się bez męża, ale cóż robić?” Stróż nie radził Szwarcowi poznawać się z nimi „ile że hardzi ludziska, a w kieszeni, panie kochany pustki.”

— Stara hrabina dawno nie żyje? pytał Szwarc

— A będzie ze trzy lata jak umarła. Bo to widzisz pan, dawniéj podobno byli bogaci, ale on stracił majątek na zbożu, co to niby miał odstawiać je wspólce do Odessy—nazarywał ludzi co niemiara. Ona była najlepsza z nich wszystkich. Zacna pani! ale też gryzła się i umarła. Już pięć lat jak tu mieszkają.

— Znajomych, familii dużo mają?

— Nie muszą mieć, bo nie widziałem nikogo.

Następnie Szwarc w oczekiwaniu na Augustynowicza położył się w łóżko, a kazawszy sobie podać szklankę herbaty, usnął niebawem. Gdy się obudził, czuł się cokolwiek chory. Augustynowicza jeszcze nie było, choć już dobrze mroczyło się wówczas. Przyszedł wreszcie w doskonałym humorze.

Dama, z którą się był poznał, nazywała się Wizbergowa, a miała córkę Karolinę. Augustynowicz auskultował obiedwie: córce przepisał taniec, matce—konną jazdę. Zresztą obiecał być jeszcze u nich i przyprowadzić Szwarca.

— Stara dama mowiła mi, że już pozwy hrabiemu doręczone co mnie zresztą nie obchodziło mówił, Augustynowicz. Była nawet u hrabiego, ale zastała tylko hrabiankę, która jéj się podobała. Panienka przestraszyła się bardzo, dowiedziawszy się o celu przybycia staréj damy. Pytałem się staréj damy, dla czego upomina się o marne pare tysięcy, kiedy wydaje się być żoną Krezusa? Odpowiedziała, że jéj nieboszczyk nazywał się Kleofas nie Krezus. „Żeby to moje było, mówiła, pewno im bymnie dokuczała, ale to wszystko mego dziecka.” Wtedy ja ścisnąłem z prawdziwém uczuciem rękę tego dziecka pod stołem: byłem po prostu rozczulony—słowo honoru, byłem rozczulony. Odchodząc, pocałowałem w rękę starą damę. Panna ma na imię Malinka—śliczne imię Malinka, choć nie w tém rzecz, żeby się pięknie albo brzydko nazywać. Coś ty taki blady Szwarc?

— Nie jestem zdrów zupełnie, a i spać mi się nie chce. Spałem czekając na ciebie. Daj mi szklankę herbaty.

Augustynowicz nalał herbatę, i zapaliwszy fajkę położył się w łóżko. Szwarc przysunął fotel do biurka, i wziąwszy pióro zaczął pisać.

Wkrótce jednak przestał. Myśli tłoczyły mu się do głowy; oparł się o fotel i puścił im bieg wolny. Kto inny byłby marzył—Szwarc zbierał i summował własną przeszłość, myślał nad warunkami, w jakich się teraz znajduje, obrachowywał się na przyszłość. Co do téj przyszłości, trudniéj było utrzymać mu się w chłodnej roli rozumującego. Słowa: „To młody doktór papo”, mimowolnie przychodziły mu na pamięć. Być doktorem i trochę kapłanem nauki, z jednéj strony panować rozumem, z drugiéj znaczeniem, majątkiem, sławą (Szwarc nie był jeszcze nieczułym na sławę), przyciągać spojrzenia, wywoływać uśmiechy, wreszcie jednać serca... Tu przypomniała mu się Helena. W krainie uczucia nie wolno mu już było wybierać. Czuł się związanym a przecież chciałby widzieć zwracające się na niego oczy i uśmiechy ustek dziewiczych i słówko tak mile szeptane: „To młody doktor”! Pierwszy raz nie mógł opędzić się myśli, że Helena może mu być przeszkodą w jego pochodzie naprzód. Z tą myślą postanowił rozprawić się. Wykształcenie jéj nie stało na zawadzie:—była wykształcona; miała lat dwadzieścia jeden, Szwarc dwadzieścia cztery—różnica lubo za mała nie stanowiąca przeszkody. Jakież mógł mieć powody obawy, aby Helena nie ciążyła mu kiedyś. Sumienie powiedziało mu, że pierwszą przyczyną była jego próżność. Znał mało kobiet, a chciałby ich znać wiele i panować nad niemi? Ale istniały jeszcze inne względy, których nie przypuszczał Szwarc. Za mało kochał. W duszy leżały mu ogromne kapitały uczucia, on ledwo część ich podniósł na imię Potkańskiéj. Nosił w sobie głuche poczucie tych sił—przeczucie to odbierało mu spokój. Chciał uchwycić grunt rzeczy, a nie łatwo było, nawet takiéj świadoméj siebie głowie jak Szwarc, dojść do ostatnich rezultatów. *(d. c. n.)*

## KORESPONDENCYA.

*Kraków 6 Czerwca.*

Najważniejszą sprawą, jaka tu była na porządku dziennym (wyrażenie ulubione w Galicyi), były wybory do Akademii umiejętności odbyte przed dwoma tygodniami. Statut Akademii, która, jak wiadomo, przekształca się z Towarzystwa naukowego, wymagał, ażeby pierwsi dwunastu akademików wybrani zostali koniecznie z pomiędzy członków czynnych Towarzystwa, ażeby tym sposobem utrzymać ciągłość jego bytu i zapobiedz powstać mogącym w przyszłości kwestyom prawnym z tytułu przelewu majątku Towarzystwa na rzecz Akademii. Postanowienie to statutu nasi krakowscy panowie tak sobie wytłómaczyli, że ci pierwsi członkowie muszą być koniecznie mieszkańcami Krakowa, co liczbę wybieralnych znacznie zmniejszyło i zmusiło do wybierania ludzi prawie nieznanych po za obrębem naszych fortyfikacyi. Wybrano z wydziału archeologi i sztuk pięknych Józefa Kremera, Wincentego Pola, Karola Mecherzyńskiego, Lucyana Siemieńskiego, Antoniego Walewskiego, Juliana Dunajewskiego; Józefa Szujskiego i Karola Estreichera; z wydziału nauk przyrodniczych wyszli d-rowie: Majer, Skobel, Teidman i Kuczyński.

Wybór ten wywołał bardzo silną krytykę w pismach tutejszych i lwowskich, i słusznie zarzucano Towarzystwu, że wytłómaczyło statut w sposób naciągany, ażeby dla Krakowa jak najwięcéj krzeseł zagarnąć. Że jednak tak się stało, wina tego najbardziéj spada właśnie na dziennikarstwo. Żadne pismo ani jednem słówkiem się nie odezwało jak statut powinien być tłómaczony, żadne nie rozbierało zasług kandydatów, żadne nie oceniło nawet ogólnie kwalifikacyj, jakich od członka Akademii wymagać należy, nie mówiąc już o tém, że żadne nie wykazało, iż przed przystąpieniem do wyborów należy ułożyć sobie niejako plan całéj przyszłéj Akademii, bo w wyborach idzie nietylko o to, żeby żadna wyższa zasługa nie została pominięta, ale o to także, o to może przedewszystkiém, żeby wszystkie gałęzie wiedzy, wszystkie przyszłe wydziały Akademii posiadały odpowiednie siły, były obsadzone odpowiednio swemu zadaniu. Zapatrując się na kwalifikacye kandydatów jednostronnie, bez ocenienia stanowiska, jakie zająć mają w przyszłéj Akademii, nie możemy nawet wiedzieć, jakie ciało zbiorowe z ich zgromadzenia się utworzy, może się zdarzyć, że ten lub ów wydział zostanie zupełnie nieobsadzony, czyli że Akademia mająca istnieć dla ogółu umiejętności, dla jednéj z nich istnieć nie będzie. O tém wszystkiem nie pomyślano, jakkolwiek jeszcze w Kwietniu *Kuryer Poznański* wołał, że należy myśleć o wyborach, bo jeśli dziennikarstwo niemi się nie zajmie, jeśli opinia publiczna nie objawi swojego zdania, to panowie krakowscy zrobią co im się będzie podobało. Wołanie to przebrzmiało bez najmniejszego echa. Co większa, na kilka dni przed wyborami *Gazeta Narodowa* ogłosiła wszystkie dwanaście nazwisk, które później wyszły z urny wyborczéj, dodając, że prawdopodobnie ci zostaną wybrani, co się też potém co do jednego nazwiska sprawdziło. I to ogłoszenie nie wywołało ani jednego głosu w dziennikarstwie; dopiero gdy wybory się odbyły, gdy klamka zapadła, gdy złe się stało, dzienniki rozpoczęły polemikę tém gwałtowniejszą im bardziéj spóźnioną, i tém szkodliwszą, że bezcelową, bo nie mogła napra-

wić złego, a przeniosłszy się nawet do pism wiedeńskich, osłabiła powagę przyszłéj Akademii w oczach nie bardzo nam przychylnych Niemców, od których głównie zależy uchwalanie uposażenia dla Akademii w radzie państwa.

Obecnie zanosi się na drugi akt czegoś podobnego. Wybrani dwunastu akademików, po zatwierdzeniu ośmiu z nich przez cesarza, mają odebrać na rzecz Akademii majątek Towarzystwa naukowego, ukonstytuować się i dobrać jeszcze 28 członków czynnych i 36 korrespondentów, nie ograniczając się niczém w wyborze, t. j. wybierając w ogóle uczonych, bez względu na to czy są lub nie są członkami Towarzystwa, czy są lub nie Galicyanami. Jeżeli i teraz opinia nie wyrazi się kto w tym wyborze przejść powinien, jeżeli kwalifikacye kadydatów nie zostaną rozebrane i ocenione, jeżeli nikt się nie zastanowi nad tém, jakie czynniki w Akademii są niezbędne, to wyborcy znowu zrobią co będą chcieli, skład ogólny akademii będzie przedstawiał w jednych wydziałach przepełnienia, a w drugich braki, i wszelkie narzekania późniejsze nic nie pomogą, na naprawienie zaś złego czekać będzie trzeba dziesiątki lat, bo nadal krzesła akademickie tylko w razie śmierci któregoś z „nieśmiertelnych” nowymi członkami obsadzane będą. Wiedzą o tém wszyscy, nikt jednak się tém nie zajmuje, bo w téj chwili nad Galicyą jakaś dziwna zaciążyła apatya.

Nim przyszło do ukonstytuowania się Akademii, straciła ona męża, który najbardziéj podobno przyczynił się do jéj założenia. Mężem tym był książę Jerzy Lubomirski, którego imię zajmie chlubną kartę w historyi Zakładu naukowego imienia Ossolińskich we Lwowie i Towarzystwa naukowego krakowskiego. Był to człowiek miłujący naukę, poświęcający dla niéj czas swój i mienie, a z powodu niezwykłéj prawości charakteru i szczeréj a wytrwałéj miłości dobra publicznego powszechnie ceniony i kochany. Tłumy mieszkańców na pogrzebie, niekłamany żal ogółu, sympatyczne i serdeczne słowa dzienników wszelkich odcieni, były to wymowne świadectwa, jak powszechnie zmarły we wszystkich sferach potrafił sobie zyskać uznanie. Ramy korrespondencyi nie pozwalają mi dłużéj się rozwodzić o położonych przez niego zasługach, wspomnę tylko, jako piękny rys charakteru nieboszczyka, że będąc prawie założycielem akademii, wyraźnie żądał, aby go do niéj nie wybierano, czuł bowiem, że takich zasług, jakich się wymaga od członka podobnéj instytucyi, zasług wprost i wyłącznie naukowych i literackich, położył zbyt mało, że wybór swój zawdzięczałby głównie innym zasługom, których tłem była wprawdzie miłość nauki, ale które mu ułatwiało jego stanowisko społeczne i majątek. Mimo to między wyborcami znalazło się siedmiu, którzy dali swe głosy ś. p. Lubomirskiemu, jakby podejrzewając go o nieszczerość w tém zrzeczeniu się wybieralności, chociaż jedną z najważniejszych i najpiękniejszych zalet charakteru nieboszczyka była właśnie szczerość. Wyborcy ci nie zastanowili się nad tém, że takich ludzi jak Lubomirski, ludzi, którzy tyle dla Akademii uczynili co on, albo się nie wybiera wcale, jeżeli tego nie chcą lub do tego nie mają prawa, albo wybiera się ich jednomyślnie, bodźcem bowiem ich czynów nie była ambicya, mogąca pragnąć bogdaj kilkogłosowego pochlebstwa.

Oprócz wyborów do Akademii kilka innych spraw większéj wagi załatwiło się w naszém mieście, chociaż nie wszystkie w taki sposób, żeby się chwalić było z czego. Najmniéj chlubną zapewne jest sprawa sukiennic. Przed trzema laty ogłoszono konkurs na projekt restauracyi tego starożytego gmachu, dwa lata temu rozsądzono go i przyznano dwie nagrody, pierwszy hr. Platerowi, drugą p. Rudzkiemu; w roku przeszłym przystąpiono do wykonania planu hr. Platera, pod jego osobistym kierunkiem, włożono w te roboty dosyć znaczny kapitał, i w tym roku dopiero spostrzeżono się, że miasto nie ma dosyć pieniędzy na wykonanie tego planu, bo summa przeznaczona 250,000 złr., wynosi zaledwie połowę tego, co byłoby potrzebne, jeżeli w ogóle plan Hr. Platera jest wykonalny i praktyczny, bo i o tém powątpiewać zaczęto. Postanowiono zatem zawiesić rozpoczęte roboty, i zwrócić się nie do planu uwieńczonego drugą nagrodą, jak by o tem najprostsza logika nakazywała, lecz do innego budowniczego, p. Księżarskiego, któremu polecono wygotować nowy plan i starać się ile podobna, żeby robot już wykonanych nie potrzeba było rozbierać. Przyczyną tego wszystkiego było głównie to, że najważniejszy głos w sprawach technicznych mają zawsze u nas ludzie nie fachowi, którzy są przekonani, że dobra wola na wszystko wystarczy i że w duchu słów Pisma o wierze przenoszącéj skały, dosyć uwierzyć, że się jest architektem, ażeby odbudować sukiennice. Tacy panowie nie pomyśleli nawet o tém, że przed przystąpieniem do robot należy sporządzić ich kosztorys; naturalnie zatém musiało się to skończyć tak jak się skończyło, z niewielką chlubą dla naszego gospodarstwa miejskiego.

W przeszłym liście pisałem o konkursie dramatycznym. Rozstrzygnięty on został także w sposób nieco dziwaczny. O pierwszą nagrodę walczyła komedya *Pozytywni* z dramatem p. n. *Przeor Paulinów*, pióra podobno kobiecego z królestwa. Na ośmiu głosujących *Pozytywni* otrzymali pięć głosów, im więc przypadła pierwsza nagroda, były jednak trzy głosy, które oświadczyły, że *Przeor Paulinów* jest najlepszą sztuką ze wszystkich nadesłanych na konkurs. Tymczasem przy głosowaniu na drugą nagrodę, znalazło się tych głosów tylko dwa, sześć otrzymały *Skarby i Upiory* p. Aleksandra Ładnowskiego, autora Stefana z Pokucia, Icka Zapieczętowanego i innych monodramów, ktoś zatem raz głosował że *Przeor Paulinów* wart pierwszéj nagrody a drugi raz że taż sama sztuka nawet na drugie premium nie zasługuje. Ponieważ niktby zapewne nie dał tak nie logicznego głosu, gdyby głosowanie nie było tajne, przeto słusznie niektóre dzienniki domagają się jawnego głosowania w tekich konkursach. Nie przyjęto jednakże téj zasady w konkursie ogłoszonym na rok bieżący, zmieniono tylko komitet oceniający sztuki, ustanowiono trzy nagrody 500, 250 i 150 złr., zapowiedziano, że prace nadesłane po dniu 31 Grudnia r. b. do konkursu przyjęte nie będą, i że wyrok sądu konkursowego najpóźniéj 15 Lutego 1873 r. zapadnie. Pierwsza nagroda przyznana zostanie tylko w takim razie, jeżeli sztuka najlepsza będzie bezwzględnie dobrą, do dwóch drugich mają prawo sztuki względnie najlepsze, to jest nagrody te przyznane zostaną nawet wtedy, gdyby premiowane sztuki nie odpowiadały średnim wymaganiom surowéj krytyki. Do pierwszych dwóch nagród mają prawo tylko sztuki najmniéj trzy aktowe, do trzeciej nawet jednoaktówki.

Wysokość nagród każe liczyć, że do tegorocznego konkursu liczni zgłoszą się konkurenci, dla których wiadomości streściłem powyższe warunki.

Komedya Pozytywni przedstawiona na scenie zyskała powodzenie bardzo świetne, jest to bowiem utwór niezaprzeczenie wyższéj wartości, lecz jako dzieło dramatyczne usprawiedliwia zdanie komissyi konkursowéj, która téj sztuce przyznała nagrodę niejako bezwzględnie dobréj, lecz jako najlepszéj z nadesłanych. Prócz tego autor mylnie nazwał pozytywizmem to, co nim nie jest, i tym błędem w tytule przyczynia się bardzo do pogmatwania pojęć w naszéj publiczności. Niestety, stoimy jeszcze na téj stopie, że nader znaczna liczba ludzi w pierwszéj lepszéj komedyi lub powieści czerpie definicye naukowe, tyle tylko wie o rzeczach nauki i tak je pojmuje, jak je przedstawionemi w jakimś belletrystycznym utworze znalazła; ztąd nie jednemu zdawać się będzie, że ów pozytywizm wprost i bezpośrednio produkuje takich ludzi jak hr. Alfred Choryński, bohater téj komedyi, gdy tymczasem ten człowiek na każdym kroku i w każdém słowie daje dowody, że nietylko o pozytywizmie nigdy nie myślał, ale nawet w ogóle z poważniejszéj naukowéj strony nigdy nie patrzał na życie. Dewizą jego *parvenir coûte que coûte*, myśli o ożenieniu się bogatém i o zrobieniu majątku bądź co bądź, nie pytając czy to będzie zgodne z Arystotelesem czy z Platonem, z Kartezyuszem czy z Kantem, z Heglem czy z Comtem. Takich ludzi, co chcieli się ożenić bogato i zrobić fortunę, było pełno od czasu wynalezienia małżeństw i majątków; jakimże sposobem uwierzyć możemy autorowi na słowo, że to dopiero pozytywizm produkować ich począł, że są wyrobem prądu idei, który ogarnął najmłodsze pokolenia? W każdym razie ogólny sąd o Pozytywnych, nie wdając się w szczegółową krytykę, która przekracza zakres korrespondencyi, jest taki, że ogólnie, jako utwór literacki praca ta więcéj daleko posiada zalet niż wytknąćby jéj można usterek, jest zatém utworem wyższéj niż średniéj wartości; ale pod względem specyalnym, pod względem scenizmu, stosunek okazuje się przeciwny, i dla tego komissya konkursowa, choć ją uznała za najlepszą, za dobrą przecież uznać jéj nie mogła. Pod względem scenicznym są tam grzechy nie darowane, że wymienię tylko najważniejszy. Rzecz kończy się właściwie z końcem trzeciego aktu, bieg intrygi, zadosyćuczynienie sprawiedliwości dramatycznéj, słowem wszystko co się zamykać powinno w rozwiązaniu sztuki, jest tam zgromadzone, widz wié że źli nietylko odnieśli karę, ale że dobrzy zostaną nagrodzeni, iż starszy brat pozytywisty, przedstawiciel idealizmu, ożeni się z córką poczciwego Dowgiełły. Autor jednak uznał za stosowne dodać jeszcze akt czwarty, w którym po parze lat, nie z akcyi, ale z opowiadań, dowiadujemy się tego wszystkiego jeszcze raz, w rozwiązaniu zaś zajmujemy się głównie losami osób drugorzędnych, hrabiny Zenobii i Genia. Pozytywista niepoprawiony przez te lat parę, nie zmieniwszy zupełnie swoich przekonań, pozostał tém samém czém był na początku; mimo to autor jakby żałując, iż go w końcu trzeciego aktu zbyt surowo ukarał, zwraca mu to, o co mu najbardziéj i wyłącznie chodziło, t. j. pieniądze, ażeby mógł daléj praktykować swój szczególny pozytywizm.

Teatr, jak co roku, opuścił nas na lato, bo publiczność krakowska, rozjeżdżająca się w różne strony do wód i różnemi innemi przyjemnościami wabiona, nie mogłaby go w porze letniéj utrzymać. Ostatnie przedstawienia przed odjazdem poświęcone były gościnnym występom pani Modrzejewskiéj i Majeranowskiéj z Warszawy. O pani Modrzejewskiéj zbytecznie byłoby pisać, domyślicie się łatwo, że każde jéj wystąpienie było tryumfem, choć gdy wystąpiła w roli Księżnéj Jerzowéj, Dumasa, granéj tu

przedtém przez panią Hofmanową, miasto nasze podzieliło się na dwa równie silne obozy przyznające palmę pierwszeństwa to jednéj, to drugiéj z tych dwóch znakomitych artystek. Dla pani Majeranowskiéj dyrekcya zdobyła się na przedstawienie Pięknéj Heleny, co przy słabych siłach wokalnych naszéj operetki było już bardzo wielką śmiałością. To też do przedstawienia przyszło dopiero po uporczywéj walce z przeszkodami, z których najważniejszą było odmówienie i wykradzenie tenora p. Zakrzewskiego w dniu pierwszéj reprezentacyi przez dyrekcyę teatru lwowskiego. Czyn ten niekoleżeński oburzył tu bardzo opinię, wywołał namiętną polemikę, ostateczny rezultat wszystkiego w Galicyi, a dyrekcyę zmusił do oddawania roli Parysa to sopranistce pannie Ćwiklińskiéj, to gdy ta zasłabła, niemieckiemu śpiewakowi, który mówiąc



Widok miasteczka pogranicznego Husiatyna.

i śpiewając w obcym języku, bardzo pociesznie na scenie wyglądał. Dodać należy, że w przedstawieniu téj opery zachowano starannie, o ile się tylko dało, umiarkowanie we względzie tych szczegółów, które ją na innych scenach czynią tak drastyczną i jaskrawą, i uczyniono z niéj prawie zupełnie przyzwoitą sztukę.

Widzę jednak, że już bardzo przekroczyłem zakreślone mi granice... do przyszłego zatém listu.

# PRZEGLĄD LITERACKI.

Dzieje jedynaka, powieść przez Edwarda Chłopickiego. Warszawa. 1872.

Pocieszający jest w powieściopisarstwie naszém zwrót do poważniejszych studyów psychicznych i towarzyskich. Im głębiéj poznajemy życie, tém mniéj się wydaje ono romansem lub farsą—a do ostatniego poglądu społeczeństwo nasze aż nadto jest skłonne. Literatura piękna ma także swe obowiązki wychowawcze i obywatelskie, które dosyć długo lekceważyła. Na szczęście czasy *Samotników*, *Renegatów*, *Matyld*, *Klementyn*, *Rodinów* i najrozmaitszych *Tajemnic*, minęły bezpowrotnie, a choć błąkają się jeszcze po świecie *Eugenie* i *Izabelle*, porządni ludzie nie znajomią się z podobnemi dworkami, a nawet nikt ze *znajomych* nie przyznaje się głośno do kompromitującej znajomości.



Zbieranie jagód. Układ i rysunek B. Kamińskiego.

Wracamy do studyów, na których zasadzać się powinna każda rozumna powieść. Oczywiście mówimy o studyach nad charakterami, o analizie namiętności i badaniu warunków życia psychicznego i towarzyskiego. Studya te jednak powinny poprzedzać akt twórczości, nie zaś zlewać się z nim w jednę chwilę i w jeden czyn. Błądzili w tym względzie zdolniejsi nawet powieściopisarze, których utwory wyglądają często jako preparaty anatomiczne, nie zaś jako odwzory życia. Takim pisarzem był podług nas we Francyi Balzac, a po części i Georges Sand, acz ostatnią autorkę ratuje poniekąd wrodzony popęd do plastyczności. U nas przedstawicielami podobnego kierunku byli Przecławski i Sztyrmer, a następnie kilka talentów niewieścich. Utwory ich, dające temata do myślenia chłodnego, nie sprawiają wrażenia estetycznego, nie wywołują poczucia harmonii pomiędzy ideą i formą piękną. Nie ma tam obrazowania umiejętnego, którém celują mistrze tacy jak Dickens angielski, lub nasz Kraszewski. Porównanie lepiéj wyjaśni myśl naszą. Michał Anioł znał dobrze anatomię, lecz nie rzeźbił szkieletów lub odartych ze skóry mięśni i naczyń, lecz tworzył typy żywe, z ciałem i wyrazem żyjącym... Tak więc pożarcie formy przez myśl analityczną uznajemy za ważny usterk w twórczości powieściopisarskiéj. Błąd ten razi nas wtedy najbardziéj, skoro analiza rzuca się na przedmiot błahy, na jakąś np. fibrę maluczką chorego serca. Otrzymujemy natenczas zamiast powieści monografię psychiatryczną, którą lubować się mogą lekarze i hypochondrycy, lecz nie zdrowe estetyczne natury. Takimi pisarzami są Dumas syn, Flaubert, Feydeau i wielu innych; a i u nas istnieje podobny prąd, nawet w natchnieniach pisarzy naczelniejszych. Cóż powiedzieć, o autorach i autorkach pośledniejszéj wody?! Analiza ich, brzęcząca patetycznemi wyrazy, wygląda jak bujanie senne nad ziemią. Jest to dziecko ręki i pióra, a nie głowy i serca... Czytając podobne elukubracye, zawsze przypominamy sobie anegdotę o pewnéj pani byłéj lektorce Jéj C.-Apostolskiéj Mości, namiętnie zamiłowanéj w deklamacyi, a tak wprawnéj w swojém rzemiośle, że nie wiedząc nigdy co miała powiedzieć po chwili, śmiało zaczynała prawić, pewna, że wymówiony wyraz zrodzi tysiące innych, jak Izaak zrodził Jakóba, Jakób Józefa i braci jego i t. d. Raz więc zadeklamowała w liczném towarzystwie: „Wyobraźcie sobie państwo próżnię — lecz próżnię tak olbrzymią, tak straszną, tak bezdenną...“ Znudzony mąż-humorysta, mający słabostkę do flaszy, przerwał natchnioną połowicę tragicznym wykrzyknikiem: „jak próżna butelka!..“ Ogólny śmiech rozstroił uroczystą powagę towarzystwa.

Pogadanka powyższa niech posłuży za wstęp do kilku uwag o powieści p. Edwarda Chłopickiego p. n. *Dzieje jedynaka*. Tytuł jest etykietką fałszywą, bo „jedynactwo“ gra tu rolę stokroć podrzędniejszą niż w grubéj humoresce Jeża: *Opowiadanie Stasia*. Jest to historya bogatego próżniaka, źle wychowanego, pomimo to, że autor raz tylko (na 1 str.) uszczypliwie odzywa się o matce jego: „Milcio miał i mateczkę czułą, która wykołysana od lat najmłodszych francuzkiemi romansami, żyła w świecie urojeń, a widząc w dziecku darowane sobie ręką trafu cacko, pieściła się niém jak przypiętą u boku różą lub błyszczącym klejnotem.“ W dalszym ciągu powieści taż sama matka występuje w świetle dość zacném. Nie jedyna to sprzeczność w powieści. Prawda, że oprócz matki rozwój umysłowy chłopca powierzony był bonie Szwajcarce i łaskawym a dbałym o przyszłość siostrzana ciociom dobrodziejkom. „Pierwsza paplała z nim po francuzku; dwie drugie, oprócz nauki czytania i pisania w trzech językach, znakomitsze dziejowe ustępy wykładały mu ze współczesnych romansów, geografię z turystowskich podróży, botanikę z książki ogrodniczéj i z kwiatowych ustanowionych na etażerkach doniczek, poetykę z przepisywanych własną ręką panieńskich

wierszydeł, arytmetykę z numerowanych tabliczek francuzkiéj kabały, mineralogię z precyozów maminéj gotowalni, filozofię ze swoich platonistowsko-chorobliwych (?) elukubracyj." Najwidoczniejszym i niezaprzeczonym produktem takiego wychowania było najprzód zamienienie się mózgowych Milcia komórek w jakiś norymbergski sklep przeróżnych, niemających z sobą żadnego związku wiadomostek, a potém rzucenie w głąb dziecięcéj duszy jakiegoś niewysłowionego znudzenia i przesytu... Wychowanie pozadomowe nie było szczęśliwszém... „W pugilaresiku safianowym ulokował on starannie świadectwo szkólne; w biurku wiązkę ozdobnych ze złoconemi okładkami kajetów i książek, oraz parę od ładnych z sąsiedniéj żeńskiéj pensyi panienek, pachnących bilecików; w sercu i głowie chaotyczną mieszaninę próżności, niewieściéj kokieteryi, koszlawéj nauki, drażliwego sentymentalizmu i lodowatego chłodu— i z temi nabytkami wstąpił śmiało w drugi, czteroletni, nauk uniwersyteckich peryod . . . Cztery to lata przeszły mu jak sen ulotny, zostawiając w pamięci jakiś kalejdoskop różnych poplątanych z sobą najdziwaczniéj zasad i formułek, i niezdającego z powodu *słabości zdrowia* ostatecznego dla otrzymania dyplomu egzaminu młodzieńca, z mrocznych przybytków pracy, wróciły w słodkie i długo oczekiwane objęcia wypoczynku."

Cały ten okres życia bohatera, podług nas najważniejszy, autor pozbywa ogólnikami, a następnie wkracza w peryod, którego nie opuszcza aż do epilogu... Jest to peryod *bałamucenia kobiet na zimno*, don-juanerya bez namiętności i sensu „Jeżeli Amilkarowi brakowało serca, to nie brakło mu wcale żywéj i prawie palącéj imaginacyi Organizmy z natury, a mianowicie skutkiem pieszczotliwego wychowania miękkie i delikatne odznaczają się zwykle posiadaniem nieprzebranego skarbu najsilniéj działających fantasmagoryjnych widzeń. Pożar ten mózgowy wpędza je nieraz na drogę wielkich wad, a nawet społecznych wykroczeń; niekiedy zaś uładnym swym płomieniem oświeca mroczne czeluście śpiącego serca, i pobudza je do szlachetnych, choć krótkich uniesień..." Na téj wątpliwéj zasadzie Amilkar kocha się na prawdę i żeni się z poczciwą Anną. „Uczucie to pobudzone z jednéj strony admiracyjnemi wykrzyknikami innych ludzi, z drugiéj jakąś nieujętą eterycznością i niecielesnością idealnéj Anny, doszło do potęgi prawdziwie dzielnych (?), lubujących się kobiecą słabością tętn serca, i wyprowadziło go na pole gwałtowniejszych uniesień, najbardziéj romantycznych, bo aż zbyt jeszcze wczesnych małżeńskich przedsięwzięć. Jutro może te sztucznie zapalone ognie zgasną, i Ikarowe skrzydła wrzucą objętego maligną człowieka w przepaść większego niż dotąd było zniechęcenia; jutro może biedna współbiesiadniczka krótkiéj uczty miłości zbudzi się na cierniowém łożu, i wydarte z piersi swéj kochające serce ujrzy rzuconém na pastwę żmijom rozpaczy i zwątpienia: ale to się stać może tylko jutro. Dziś i syn szału wierzy w swą cudowną metamorfozę, i jego biedna towarzyszka nie wie, że pije napój rozkoszy z czary, którą niedawno zatrute wychylano toasty." W uczuciu tém jednak dla żony więcéj można było dopatrzyć objawów zadowolonéj miłości własnéj i tryumfu, że potęgą zalet osobistych posiadł jedną z najpiękniejszych i najposażniejszych w kraju panien, niż rzeczywistą dla Anny miłość... W przeciągu dwóch miesięcy pożycie państwa Rajczyńskich było najczulszą, najharmonijniejszą, pełną wiosennéj woni i zapału pieśnią miłosną... „Dopókąd wyobraźnia, główny ten w Amilkarze wewnętrzny ducha jego czynnik, miała dostateczną ilość barw świeżych i nowych, dotąd się bawiła ona w stawienie przed oczami młodzieńca świetnych, uroczych i roznamiętniających go obrazów, ale gdy barwy te poczęły zwolna blednieć i powszednieć, kreślone przez nią obrazy stawały się coraz mniéj ponętne, tak, że i ręka, co je tworzyła i oko, co się czarowało niemi, zaczęły mimowoli odczuwać przesyt i znużenie..." Następuje znajomość Amilkara z hr. Skarbimirem, naszkicowanym bardzo dobrze... „Almikar z natury oszczędny, wyrachowany i obcy takim, jak gry hazardowne i inne kawalerskie hulanki zabawom, obojętnie od pustych młodzików przyjmował oznaki adoracyi i przyjaźni; ale trafił na jednostki wyróżniające się chociażby pozornie tylko poważniejszém wzięciem się, wykształceniem i mniejszą interesownością, chętnie się z nimi łączył, na przyjęcie ich u siebie i towarzyszenie w niektórych przyzwoitszych zabawach miastowych nie żałował nawet znacznych kosztów, i radami ich, jeżeli nie zawsze, to często bardzo się dał powodować.

„Między tymi bliżéj zestosunkowanymi z Amilkarem znajomymi, najpierwsze zajął miejsce hrabia Henryk Skarbimir. Człowiek ten czterdziestoletni, oprócz znanego w kraju nazwiska, światowego poloru i dość znacznych jeszcze sporéj fortuny ostatków, posiadał wielką znajomość ludzi, niepospolitą, nabytą z książek oraz z uwijania się po cywilizowanym świecie erudycyę, ale większy nad to wszystko, połączony ze staro-szlachecką dobrodusznością, a zamaskowany bujnym kwieciem wyobraźni cynizm. Wierzył on w honor, jako monetę krążącą nie daléj nad kordon jego arystokratycznego terrytoryum; w miłość dla kobiet, jako w uczucie pana dla nabytych na bazarze interesu lub konwenansu niewolnic; w przyjazną z młodymi ludźmi zażyłość, jako w igraszkę kota ze złowioną myszką, łącząca w sobie zabawę z pożytkiem; w rozum i ukształcenie--pozorne naturalnie—jako w lep na muchy; w herb swój szlachecki, jako w zręcznie podrobioną fałszywą assygnatę, i wreszcie w złotego cielca jako w środek do łatwego żołądkowego, sercowego i umysłowego trawienia karmi doczesnego życia..." Hrabia Skarbimir, zbadawszy dokładnie naturę swojego towarzysza, z niewypowiedzianém zajęciem patrzał na jego lwie z zimną krwią a gorącą imaginacyą dopełniane zasadzki, napady i zwycięztwa, i tak radą jak pośredniczém słówkiem, a niekiedy i grubszego kalibru intrygą dopomagał mu do śmielszych i ekscentryczniejszych przedsięwzięć... Spółka dwóch podobnych, zapobiegliwych, roznamiętnionych gorączką mózgu, zręcznych błyskotnie, choć pozornie tylko ukształconych, powabną obdarzonych powierzchownością i rzucających hojnie pieniądze mężczyzn nie mogła nie tryumfować... Ale na na jakiém polu?... Hr. Skarbinier wiezie Amilkara do Paryża. „Świat teatralny i salonowy, zniknął już dziś prawie świat czarujących syren z dzielnicy *Breda* i świat poetycznych gryzetek z *Łacińskiéj dzielnicy*, każdy z kolei, za pomocą wdzięku, Antynousowego lub Krezusowego dźwięku, czy też jednego i drugiego razem, krócéj lub dłużéj, silniéj lub słabiéj, został przez nich zaniepokojony..." Urodziny syna sprowadzają Amilkara do domu; lecz nacieszywszy się do syta posiadaniem małego Gabryela, hohater powieści wpada na nowo we właściwe swemu charakterowi znużenie, i zmęczony tak szczebiotami dziecka, jak chorobą żony, poczyna uciekać z domu... Gdy cierpienie Anny doszło rozpaczliwych rozmiarów, i gdy doktorowie, według przyjętego zwyczaju, rozkazali jéj udać się pod południowe niebo Włoch lub Francyi, Amilkar rad z okoliczności, zabrał całą rodzinę i pospieszył do *Hyerès*. Tam mu umiera poczciwa żona. W obec nieostygłych jéj zwłok bohater kala się miłosną intrygą (zawsze na zimno), kończącą się strzaskaniem goleni niefortunnego Don-Juana przez zazdrosnego małżonka. Potém... potém „Amilkar zdążył zużyć suty bujnéj swéj imaginacyi zapas, zatrzeć w męczących szermierkach (?) powab młodości z antynousowego oblicza i postawy, a co najgorsza zmarnować duży, spadły po ojcu i stryju majątek." Jeszcze raz podtatusiały adonis poświęca resztę pozostającą mu z życiowego rozbicia energii „usnuciu z porwanych złotych młodości nitek jakiéj takiéj w dziedzinie oderwanych rojeń teraźniejszości" — a mówiąc prościéj, staraniu się o przedmiot młodzieńczych swoich zapałów bogatą wdowę; lecz nieubłagane *fatum* karze starego bałamuta odkoszem, i niedołężny Don-Juan kończy swój zawód w jednym z krakowskich klasztorów *ad majorem Dei gloriam*, lecz bez pożytku bliźnich. Autor tłomaczy postanowienie jego w następujący sposób: „Znajdą się zapewne ludzie, którzy powiedzą, że zamiast pisać w celi klasztornéj budujące dla syna pamiętniki, należało mi raczéj, poczuwszy przeszłe winy, wziąć na siebie tak trud około kształcenia jedynego syna, jak dopełnienie innych zaniedbywanych dotąd obowiązków społecznych; ale wierzaj mi, zarzut podobny nie będzie ani rozumny, ani sprawiedliwy. Natura mego upadku było tego rodzaju, że dziś już najszczersza nawet duchowa skrucha nie może mię w zupełności podźwignąć i na drogę *reparującego* (*sic*) przeszłość czynu wprowadzić... Tylko człowiek chwilowo porwany wirem szału i zapomnienia może z przeminieniem burzy wejść na drogę *czynnéj* pokuty i dalszém swem życiem wynagrodzić poczynione we własnym i społecznym budynku szczerby. Ja zaś z zimną krwią, z zastanowieniem, ze stoicką cierpliwością anatomika szarpałem najdrobniejsze fibry uczucia i obowiązku; z własnéj niemocy i bezwładności czerpałem olbrzymie zniszczenia siły..." i t. d. Wiele patetycznych słów, a mało rzeczy.

Zapytujemy czytelnika: co ma wspólnego postać bohatera powieści z założeniami życia, z ideałami prawdy, dobra i piękna?... Nie jest to nawet typ patologiczny większego znaczenia, jak „Dusza w suchotach" Sztyrmera... Jest to po prostu historya choróbki głowy czy serca, poddanéj analizie chemicznéj i mikroskopijnéj, z etyologią, dyagnozą i prognozą, przypominająca dyssertacye studentów o jakimś strabizmie lub porażeniu błonki bębenkowéj.

Sam autor czuje, że powinien był trochę serdeczniéj traktować swojego bohatera;—czasami więc maluje go barwami jaśniejszemi, np. w scenie pojedynkowéj i w klasztorze: lecz głos sprawiedliwości przemawia w końcu przez usta powieściopisarza. Postępowanie Amilkara sam on nazywa nieszlachetném, nieuczciwém i nizkiém —co niesłychanie podkopuje estetyczny urok powieści.

Talentu autorowi nie zaprzeczamy. Niektóre ustępy są bardzo wdzięczne. Do takich należy opis ostatnich chwil Anny, charakterystyka Skarbimira, obraz sezonu ciechocińskiego i kilka innych.

Zasadniczą myślą powieści jest „pokazać wszystkim matkom, ciotkom i instruktorom powierzonych ich wyłącznéj pieczy młodych ludzi, że która z nich z mężczyzny robi sobie cacko i zabawkę w jego dziecinnych latach, ta na przy-

szłość gotuje zeń człowieka z obojętném na wszystkie ponęty życia i przesyconém sercem," t. j. umiejącego bałamucić, ale nie kochać... Zaprawdę—małe zadanie.

Styl autora najczęściéj wyszukany i niepoprawny, o czém z wyjątków czytelnik łatwo się mógł przekonać.

Życzymy p. Ch. donioślejszych przedmiotów i typów szlachetniejszych. *L. Sowiński.*

MIASTECZKO POGRANICZNE

# HUSIATYN.

Komu wypadło wjeżdżać do Rossyi z zagranicy przez gubernię Podolską, lub na odwrót, nazwisko Husiatyna nie musi mu być obce; przed otwarciem bowiem kolei żelaznéj we Wrześniu r. b. przez Podole do Wołoczysk miasteczka na granicy austryackiéj, Husiatyn był jedynym punktem przejezdnym dla wyruszających za granicę i komorą celną dla towarów ztamtąd nadchodzących. Dziś gdy wszystkie formalności tak pasportowe jak celne dopełniają się w Wołoczyskach, miasteczko Husiatyn, jako opuszczony poprzednik zasługuje na króciutkie wspomnienie.

Husiatyn jak wszystkie podobne mu miasteczka na Podolu, niczém się właściwie nie odznacza. Małe domki, wązkie uliczki, porządna ilość plemienia izraelskiego i jeszcze porządniejsze rzadko wysychające, a czasem niezgruntowane błoto, stanowią cechę Husiatyna, jak w ogóle podobnych mu małych mieścin. Powierzchowność tylko ma może nieco weselszą od innych współbraci; wyniosłość, na któréj widnieje porządniejsza część miasteczka (zagraniczna), obfitość drzew cienistych, kilka ogródków, przytém woda nadająmu nader obiecujący pozór.

Niewielka rzeczka Zbrucz (jak to widzimy na 2-gim drzeworycie) dzieli miasto na dwie połowy. Leżąca w dole na prawym brzegu należy do Rossyi i zalicza się do powiatu Kamienieckiego gub. Podolskiéj. Naprzeciw, pobudowana na górze, leży już na gruncie austryackim. Most drewniany, widoczny na rzece, służył za punkt dla odbierania pasportów od wjeżdżających i wyjeżdżających za granicę.

Część miasteczka położona na lewym brzegu Zbrucza za granicą (na 1-m drzeworycie) odznacza się porządniejszemi murowanemi budynkami, kościołem pięknéj architektury, sklepami i ogromną synagogą, z gotyckiemi oknami, z płaskim niewidzialnym dachem, przy któréj mieszka wielce szanowany przez całą okoliczną rzeszę izraelską sławny i *bardzo uczony*—rabin. Na górze za miastem wije się wężykiem droga prowadząca do Lwowa.

Druga część miasta na prawym brzegu Zbrucza, rossyjska, równie jest dosyć zabudowana, ale po większéj części drewniana.

Skreśliwszy po krótce obecny stan Husiatyna, wypada coskolwiek nadmienić i o jego przeszłości historycznéj. Oto co wyczytujemy o nim ze starych foliałów:

Husiatyn, a jak niektórzy nazywali Usiatyn, leżący w powiecie Czerwonogrodzkim, województwie Podolskiem do roku 1559, był wsią i własnością niejakiego JMP. Jana Swiercza; dostał on mu się w drodze zamiany razem ze wsią Kutkowcami za wieś Manikowce pod Barem od królowéj Bony. W tymże roku 1559 na prośby Swiercza został za pozwoleniem panującego wówczas Zygmunta Augusta przeistoczony na miasto, obdarowany prawem Magdeburskiém i przywilejem jarmarków: na Nowy Rok, Zielone Świątki i S. Mateusza. Następnie miasto to przeszło w posiadanie rodziny Kalinowskich, z których sławnéj pamięci Marcin wojewoda czernichowski około roku 1640 wybudował tu farę i klasztor Bernardynów. W roku 1683 Jan III udając się na odsiecz Wiednia powierzył obronę ojczyzny Jędrzejowi Potockiemu, który Husiatyn i inne podolskie grody oswobodził z rąk Turków, którzy zniszczyli znajdujący się tu wów czas obronny zamek. W roku 1786 Husiatyn był miastem osiadłém domu Potockich, miał wspaniały pałac, wielki kościół i klasztor Bernardynów. Obecnie właścicielem jego pan Żelski.

Dziś, jak widzimy z załączonego tu drzeworytu, i śladu nie ma wspomnionych gmachów. Kościół tylko pozostał, i to kwestya czy ten sam lub może nowy z gruzów podźwigniony.

*Witold Chłopicki.*

## ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

### O ŚRODKACH PRZECIWKO UBÓZTWU.

*Dokończenie. (Ob. Nr. 47).*

Co się tedy najprzód tyczy samego robotnika, to do niego przedewszystkiem należy zdać sobie najprzód jasno sprawę z swego położenia. Faktem jest niezaprzeczonym iż jego zarobek *zaledwo* jego rodzinę wyżywić może. Natomiast kapitaliści i przedsiębiercy gromadzą coraz większe kapitały i coraz wiekszą rozwijają działalność przemysłową. Naprzeciw niéj powstają stowarzyszenia tych co mogą ofiarować swoją tylko pracę, a w szczególności tylko pracę swoich rąk. W ten sposób potworzyły się stowarzyszenia produkcyjne i konsumcyjne, wzajemnéj oświaty i pomocy. Wszystkie te usiłowania dotąd ubóstwa usunąć nie zdołały, ale uczyniły już bardzo wiele dla duchowego i moralnego podniesienia żyjących w niedostatku, nadto rzuciły ważny grunt do rozwoju w tym duchu na przyszłość.

Właściwe jednak znaczenie tych ekonomicznych spółek polega na tém, że one uczą człowieka pomagać samemu sobie, wyrabiają w nim z jednéj strony zdolność prowadzenia swoich interesów, a z drugiéj umiejętność godzenia się w pracy z innymi — co jest niesłychanie ważne. Wreszcie, stowarzyszenia te wyrabiają fachową zdolność w swych uczestnikach. Duch stowarzyszeń podniesie niewątpliwie jak to już nieraz uczynił w historyi—cywilizacyą i dobrobyt.

Co się daléj tyczy kapitalisty i przedsiębiercy, to oni w tym który własnemi rękami pracuje na jego zbogacenie, przedewszystkiem człowieka a nie maszynę widzieć powinni.

Człowiek był i będzie zawsze człowiekiem. Mimo różnic społecznych pozycyj, mimo różnéj cywilizacyi, moralności i majątku, do wielkiéj gry życia przynosi on zawsze też same cnoty ale i też same namiętności i też same wady. Chęć przewodzenia nad innemi, dążność do wynoszenia się nad innych, słowem czcza nierozumna duma z całym jéj właściwym orszakiem wad, skłonności, i słabostek, jest równie wrodzoném a co najmniéj właściwém par excellence uczuciem człowieka, jak i jego honor, cnota i miłość. Majątek dając człowiekowi niezależność, ułatwia mu jeszcze więcéj krańcowo wysokie rozumienie o sobie, chęć wyosobniania się z grona ludzi których los zmusza do cięższéj choć niewdzięcznéj pracy i czyni go skłonnym do pogardy tych którzy z jego ręki oczekują środków do życia, albo co najmniéj są w wielkiéj od niego w téj mierze zależności. Obojętność na głos ubóstwa, jest nie mówię zawsze ale po większéj części cechą ludzi żyjących w dostatkach i zamożności, a nawet co gorsza, ludzie tacy chętnie z jasną świadomością jednoczą się z sobą aby tamę położyć możliwym usiłowaniom podniesienia dobrobytu klas ubogich, dla zapewnienia sobie nad nimi stałéj przewagi. Oto jest fakt bolesny, nawet bardzo, ale prawdziwy; fakt, który, ze smutkiem wyznać to należy stawia nas o wieleż to niżéj od starożytnych stosunków, bo wprawdzie najwięksi geniusze starożytności, Arystoteles twierdził konieczność niewoli, ale przecież tylko dla zapewnienia przewagi Greków nad nie-grekami, czyli barbarzyńcami,a dzisiaj—w łonie tychże samych społeczeństw takiż sam normuje się stosunek.— Są to wszystko jeszcze ślady średniowiecznéj klassowości, która sprawia iż są liczni bardzo ludzie, którzy nie pojmują z jednéj strony solidarności swoich majątkowych interesów z majątkiem innych ludzi, a nadto nie mają żadnéj idei o tém, że przecież prawu odpowiada zawsze obowiązek, że niemożna używać przywilejów bez ponoszenia ciężarów, że prawa płynące na posiadacza majątku wkładają nań także ciężar obowiązku, kierowania tak jego używalnością, aby ztąd była korzyść i dla tych co żyją w ubóstwie. Żadna ustawa nie rozporządza tego wyraźnie, ale sumienie i ta najsilniejsza dźwignia towarzyskiego życia — poczucie sprawiedliwości, nakazują to i domagają się tego stanowczo. Z pociechą wszelako z drugiéj strony, zanotować w tém miejscu wypada iż w w wielu miejscach wyrabia się już poczucie tych obowiązków. W Anglii, we Francyi, a nawet i w Niemczech nie brak przykładów, iż sami przedsiębiercy myślą w właściwych sobie zakresach o przyczynieniu się do podniesienia dobrobytu tych, którzy ciężko pracując żyją w ubóstwie, i czynią to już to przez podniesienie dobrowolne zapłaty, przez zmniejszenie liczby godzin pracy, przez urządzenie kass oszczędności i pomocy, przez urządzenie tanich i porządnych mieszkań w zabudowaniach fabrycznych, już przez urządzenie szpitali, ochronek, szkółek i t. p. a przedewszystkiem zasługuje tu na uwagę, znane pod nazwą „Industrial Partnership" zapewnienie robotnikowi obok zarobku, pewnego udziału w zyskach. W Anglii z jakie 10,000 robotników fabrycznych pobiera podobny udział w swych zakładach przemysłowych, wszyscy więc są interessowani w losie i powodzeniu fabryki.

Wszystkie te przez nas powyżéj wskazane środki, wtedy tylko ostatecznie przyczynią się do zmniejszenia ubóstwa, gdy i państwo z swéj strony nie odmówi pomocy i opieki ekonomicznym spółkom. Opieka ta jest niezaprzeczenie niczém więcéj jak opieką nad swobodną i legalną działalnością stowarzyszonych jednostek, pomoc zaś państwa polega na tém, iż państwo wszędzie nieść swoją pomoc powinno, gdzie siły indywidualne okażą się niewystarczającemi, dla osiągnięcia pewnego przez prawo dozwolonego celu.

Wszędzie państwo swoją pomoc nieść powinno tym co jéj najczęściéj potrzebują, a któż zaprzeczy iż właśnie są w tém położeniu klassy ubogie. Pomoc ta powinna się przedewszystkiem objawić z jednéj strony przez wpływanie na podniesienie oświaty ogólnéj i ułatwianie zawiązywania gospodarczych spółek, a z drugiéj bezpośrednio

przez ustanawianie liczby godzin i dni pracy, bo każdy obok pracy winien mieć sobie zostawiony czas, na odpoczynek i pracę nad samym sobą, do czego dwa powyższe, ostatnie środki posługują. Powszechnie dziś utrzymują iż ośm godzin dziennéj pracy jest najodpowiedniejszém.

Przy takim systemie pracy, ułatwi się oświatę a z nią dobrobyt tym, którzy od wieków pogrążeni są dotąd w ciemnocie i niedostatkach, a wtedy ubóstwo, które jak robak niszczący toczy dziś organizm społeczny, ustąpi miejsca dobrobytowi materyalnemu i oświacie. *G. R.*

---

## NIEKTÓRE OSOBLIWOŚCI

### klimatu Stanów Zjednoczonych Północnéj Ameryki.

podług spostrzeżeń professora Désora, podał

S. W. Łukowski.

---

Kiedy niemiecki lub szwajcarski emigrant przyjedzie do Nowego Yorku, to z początku nie znajdzie wielkiéj różnicy pomiędzy klimatem nowym a klimatem swego kraju. Lecz powoli różnica ta staje się dlań coraz widoczniejszą, tak, że stopniowo podług niéj musi zmieniać swe przywyknienia, i nareszcie naśladować amerykański sposób życia, który przedtém wywoływał z jego strony szyderstwa. Takiemu wpływowi podlega większa część Europejczyków, co nie mało ich zadziwia. Wiadomo im bowiem, że Stany Zjednoczone północnéj Ameryki znajdują się prawie pod temiż stopniami szerokości co i środkowa Europa; przytém przekonali się dotykalnie, że zima w okolicach Nowego Yorku i Bostonu, jest również chłodna, a lato gorące, jak w okolicach Frankfurtu, Bazylei i Zurychu— tymczasem spostrzegają zupełnie odmienne zjawiska, których przyczyn nie pojmują.

Zjawiska te bywają dwojakiego rodzaju: jedne odnoszą się do życia powszedniego, drugie trafiają się przy pewnego rodzaju zajęciach. Do pierwszego rzędu należą następujące: Niemki dziwią się szybkości, z jaką tutaj schnie bielizna, nawet wśród ostréj zimy, tak, że prawie w ogóle wymaga o połowę mniéj czasu niż w Europie; w skutek tego, według ich zdania, rozpowszechniony jest w Stanach Zjednoczonych zwyczaj prania bielizny co tydzień. Z drugiéj strony też gospodynie narzekają bardzo na to, że chleb wysycha tutaj zbyt prędko. Przyzwyczaiwszy się w rodzinnym swym kraju piec chleb od razu na kilkatygodniowy zapas, przychodzą do rozpaczy, widząc, że chleb przygotowany zupełnie jednakowym sposobem czerstwieje i po kilku dniach staje się niezdatnym do użycia; obwiniają w tém przymioty mąki, wody, lecz po upływie niejakiego czasu, przyswajają sobie amerykański zwyczaj pieczenia chleba prawie codzień. Niewygodę tę wynagradzają jednak różne korzyści; tak np. pleśń jest mniéj rozpowszechniona w Stanach Zjednoczonych aniżeli u nas, i rzadko zdarza się, aby dotknięta nią była prowizya przygotowana na zimę. Sutereny i piwnice, jeśli tylko nie są położone w miejscach wilgotnych i nizkich, są bardzo suche, przez co owoce i jarzyny zachowują się w nich daleko dłużéj i lepiéj niż u nas. Takiż brak wilgoci jeszcze wyraźniéj daje się zauważyć zimą w pokojach; okna pocą się tam daleko mniéj niż u nas, tak, że Niemcy przywykli do widoku w swéj ojczyźnie szyb pokrytych podczas mrozów zlodowaciałemi rysunkami, i dla których święta Bożego Narodzenia nie nie mają uroku bez *Eisblumen* (kwiaty z lodu), nieprzyjemnie są tém dotknięci, iż w Ameryce szyby tak rzadko zamarzają, bez względu na to, iż około Nowego Roku jest tam również zimno, a niekiedy nawet zimniéj niż w Hamburgu i Monachium.

Obok tych zjawisk życia powszedniego, napotykamy jeszcze inne, odnoszące się do hygieny, które każdy może sam na sobie doświadczyć. Tak np. włosy, po upływie niejakiego czasu, stają się znacznie twardsze i wymagają częstszego pomadowania, przez co i liczba fryzyerów jest daleko większa tam niż w Europie. Wiele młodych osób, które w Szwajcaryi lub Niemczech nigdy nie używały pomady, przybywszy do Stanów Zjednoczonych, po pewnym czasie nie może się obejść bez fryzyera.

Nie mniéj godne uwagi są spostrzeżenia, na stręczające się przy wykonywaniu niektórych sztuk i rzemiosł. I tak:

Budujący domy nie mają potrzeby czekać wyschnięcia nowych mieszkań przez kilka miesięcy wprzódy, nim oddadzą takowe do użytku. Zaledwie mularz skończy wystawienie budynku, a już wprowadza się doń lokator, bez żadnéj obawy nabycia reumatyzmu lub jakiejkolwiek innéj choroby, które tak łatwo udzielają się w naszych nowych gmachach.

Malarze mogą prędzéj niż u nas, nakładać drugą warstwę lakieru lub wodnych farb, bez żadnéj szkody dla roboty.

Za to stolarze, a szczególniéj fabrykanci instrumentów muzycznych, zmuszeni są z wielką oględnością wybierać drzewo dla nich konieczne. Drzewo bowiem uznane w Europie za zupełnie suche, nie może być użyte w warsztatach Bostonu i Nowego Yorku, gdzie popękałoby wkrótkim czasie. Forniry szczególniéj wymagają najtroskliwszego wyboru, i dla tego bardzo mało ich można napotkać nawet w najbogatszych domach. Z téj również przyczyny używają tutaj jedynie amerykańskich fortepianów, odznaczających się znakomitém odrobieniem; wiedeńskie bowiem i paryzkie, chociaż w Europie uważane są za wyborowe, w Stanach Zjednoczonych psują się bardzo prędko.

Stolarze zniewoleni są używać do swych robot daleko mocniejszego kleju niż w Europie.

W garbarniach skóra schnie prędzéj niż w Europie, co sprzyja przygotowaniu takowéj w większéj ilości przez dany przeciąg czasu; szczególniéj zadziwia szybkość wysychania podczas zimy.

Wiadomo, ile to starań wymaga w Europie zachowanie zbiorów historyi naturalnéj od wilgoci; tylko przy pomocy wapna lub innych pochłaniających wilgoć istot, które stawiają się w salach dla podobnych kollekcyj, udaje się ochronić je od pleśni, mianowicie w nowych gmachach. W Bostonie zaś można widzieć zbiory ptaków i zwierząt ssących w pokojach dopiero co wybielonych, i nie masz, żadnéj potrzeby przedsiębrania środków osuszających. Kiedy zwróciłem na to uwagę nadzorcy (mówi prof. Désor), wyrażając obawę, że tak szanowne przedmioty mogą uledz zepsuciu, odpowiedział mi: „Pan zapominasz, że jesteśmy w Nowéj Anglii, nie zaś w Europie."

Wszystkie te zjawiska zależą od wielkiéj suchości powietrza, chociaż ilość wody, spadającéj w Stanach Zjednoczonych w postaci deszczu lub śniegu, nietylko nie jest mniejsza, lecz nawet jeszcze większa niż w Europie. Spada tam bowiem corocznie:

| | |
|---|---|
| w Bostonie . . . | 965 milim. wody |
| w Filadelfii . . . | 1143 „ „ |
| w Saint-Louis . | 812 „ „ |

W Europie zaś roczna ilość spadłéj wody jest następująca:

| | |
|---|---|
| w Anglii . . . . . | 812 milim. |
| we Francyi . . . . . | 635 „ |
| w Średnich Niemczech . | 508 „ |
| w Węgrzech . . . . | 430 „ |

Liczba dni dżdżystych w Stanach Zjednoczonych jest także nie mniejsza niż w Europie, z wyjątkiem chyba Wielkiéj Brytanii i Norwegii; za to więcéj ich jest niż we Wschodniéj Europie. Zresztą sprzeczność zawarta w powyższych danych jest tylko pozorna, i bez względu na znaczniejszą ilość spadającéj wody, klimat Stanów Zjednoczonych może być zawsze suchszy niż w Europie.

Przyczyna polega w tém, że podczas pogody atmosfera mniéj jest nasycona wodną parą aniżeli u nas. Powietrze nie znajduje się ciągle w stanie blizkim nasycenia, jak w Anglii i Europie Zachodniéj, lecz skoro tylko deszcz przestanie padać i ze zmianą wiatru nastąpi pogoda, wilgociomierz (hygrometr) obniża się i punkt tworzenie rosy stoi znacznie niżéj od temperatury otaczającego powietrza. Pod tym względem klimat Stanów Zjednoczonych podobny jest do alpejskiego. Spostrzeżenia meteorologiczne na górach Szwajcaryi również przywiodły do rezultatów, widocznie sprzecznych z sobą; z tego, że tam deszcz pada częściéj, niż na równinach, zbyt pospieszne wyprowadzono wniosek, że powietrze na górach bywa mniéj suche. *(d. n.)*

---



Panu Kw. Protegowanemu pańskiemu panu P. B. autorowi wiersza: „Niezapominajka" racz pan doradzić ażeby gruby sekstern z poezyami jego pióra zachował w tece, powyższa bowiem próbka zapewne wybrana jako najlepsza, źle świadczy o jego zdolnościach poetycznych.

---

*Sprostowanie.* W numerze 43, na stronnicy 403, w szpalcie 2, wierszu 12, zamiast *1822*, powinno być *1832*; w wierszu zaś 19 zamiast *1848—1842*.

---



Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 1 (13) Іюня 1872 г. Redaktor, Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.